

Drapieżcy

Drapieżcy

Rozdział IV sierpień

(ciąg dalszy z poprzednich numerów DŻ)

Basior z niespiesznego galopu przeszedł w trucht i sznurował jednostajnym rytmem aż do torfowisk. Takie tempo zawsze sprawiało mu przyjemność. Zwłaszcza nocą, po dokuczliwym upale. Potrafił wtedy, nie odczuwając zmęczenia, przemierzyć spore odległości. Tej nocy biegło mu się wyjątkowo lekko. Na poprawę samopoczucia wpłynęło i to, że upolował szaraka.

Wprawdzie długoucha zdobycz nie należała do imponujących, ale wreszcie umilkł zasycony żołądek. Żadnego kurczenia, ani ssania, tylko rozlewająca się w brzuchu błogość. Przydybany z cichego podchodu szarak padł niejako w zastępstwie jenota. Gdyż za nim podążał wcześniej wilk. Kudłacz, nieświadom zagrożenia, wywiódł drapieżcę na skraj pola. Szczęśliwie dla siebie, niezbyt – dla zająca, któremu nagle pojawienie się wroga odebrało szansę ucieczki.

Spadające wieczorem ciśnienie na powrót zaczęło rosnąć. Chmury pierzchły, odsłaniając usiane gwiazdami ciemnogrnatowe niebo. W powietrzu uwijały się borowce. Ich zręczne nawroty jakiś czas przyciągały uwagę basiora. Śledził je wzrokiem, póki nie zniknął ostatni. Nietoperzowe bractwo trzymało się raczej obrzeża lasu. A tam, gdzie obecnie dotarł, drzewa gęstniały, tworząc z niskimi chaszczami zwarte kłębowisko. Odnalazłszy swoją ścieżkę zwolnił nieco i skręcił na wschód. Trochę dalej, w szpilkowym borze, miał jedno z ulubionych wypoczynkowych miejsc. Kusila wzmagająca się chęć drzemki. A mógł sobie na nią pozwolić, skoro pierwsza część nocy obdarowała go tak apetyczną niespodzianką. Spróbuje ponownie zapolować o świcie.

Dojrzewające jeżyny zostały z tyłu. Tuż przed legowiskiem prychnął i zmarszczył nos, lądując łbem w pajęczynie. Łaskocząca sieć drażniła. Postąpił jeszcze krok i akurat sięgnął łapą, by się jej pozbyć, gdy nagle coś ścięło go z nóg. Rozległ się metaliczny trzask, a drugą nogę przeszył ból. Basior zaskowyczał, podskoczył i znów usadzony świdrującym bólem legł na boku. Dopiero kolejny zryw uświadomił mu, co się stało. Sekundę lub dwie z niedowierzaniem spoglądał na skaleczoną w żelazie łapę. Bezwiednie popuścił moc. Większy od bólu strach przed uwięzieniem dodał ostrogi. Lecz skończyło się jak przed chwilą: naprężony łańcuch paści wyhamował skok i wilk rozciągnięty w niepełnym susie – przekoziołkował na grzbiet. Obezwładniające uczucie gorąca powędrowało zranioną nogą aż do żeber, by rozlać się stopniowo w całym ciele. Gorącu i towarzyszył paraliż. Na domiar wszystkiego ostatni sus wykręcił feralną nogę w stawie. Basior drżał leżąc kilkanaście sekund bez ruchu. Żelazo przykute łańcuchem do brzozy trzymało mocno. Jego szczęki zgruchotały kość promieniową. Paliła rozerwana skóra. Serce tłoczyło krew w oszalałym tempie. Gdy pierwszy szok minął, wilk – ostrożnie dzwignąwszy się na trzy nogi – powoli próbę uwolnienia. Tym razem usiłując rzucić paść krótkimi targnięciami. Złowrogo pobrzękując łańcuch tylko obciążał żelazo, powodując nawroty bólu.

Prędko mijająca noc zbiegła schwytanemu na nieustannej walce. Chwilami jednak cierpienie było zbyt duże. Wówczas kulił się odrętwiały, dysząc i oblizując zranioną łapę. Zryte wokół brzozy poszycie znaczyła krew. Rankiem basior ujrzał lisy. Już wcześniej je zwiertzył. Początkowo krążyły daleko. Ale teraz, ośmielone długotrwałym unieruchomieniem wilka, podciągnęły bliżej. Najodważniejszy z nich pozwolił sobie nawet wyjść przed pas jeżyn i przysiąść kilka metrów od brzozy. Jego demonstracyjna zuchwałość rozsierdziła basiora. Nie bacząc na ból szarpnął się w

stronę rudzielca. Zadźwięczał łańcuch. Skaczącego ścięło – ciężko zarył bokiem pyska w ziemię. Odstraszonego lis czmychnął kawałek dalej, by niebawem skrócić dystans. Wieść o rannym roznosiły głównie drobne ptaki. Wkrótce zaczęli ściągać w ten rejon padlinożercy, między którymi nie zabrakło jenota i kun. Wyżej od sójek kołował kruk. Wpierw jeden, potem drugi, wreszcie cała gromada. A w ślad za krukami pojawił się również myszołów. Na co wszyscy czekali, wąpiłości nie było. Umęczony drapieżca słabł. Jej zapach wabił także muchy. Natrętnie oblepiły wilczą sierść, nie oszczędzając zwłaszcza rozdartej skóry i obnażonych ścięgien. Oplatający drzewo łańcuch wielokrotnie przeszorował pień, złościąc w jego korze wgłębienie. Lecz minimalny luz ani trochę nie poprawił sytuacji. Paść nadal nie puszczała. I nic, poza dodatkową udręką, nie dawało zgryzanie metalowych szczęk. Następne dwa lisy wyszły przed jeżyny. Zwiedzone bezruchem uwięzionego, wolno, krok po kroku zmniejszyły dystans. Basior obserwował je kątem oka. A gdy skoczył, pchnięty wezbraną wściekłością, rude kity prysnęły w panice. Wyżej też wleciała spłoszona sikora.

Obecne szarpnięcie naruszyło pękniętą kość jeszcze mocniej. Przywarł do ziemi, nieco zamroczony nową falą bólu. Może nie był to ból dojmujący jak uprzednio, lecz jego tępe uderzenia momentami tamowały oddech.

Już każdy z lisów wiedział dokąd może sięgać uwięziony. Dokładną granicę ustaliły ponawiane prowokacje. Czuwającym nie groziło nic poza linią zrytej ściółki. Jeśli odchodziły lub umykały, to tylko po to, by wrócić za chwilę nieco bliżej. W prowokacyjnym zachowaniu szczególnie celował lis z uszkodzonym uchem i pokiereszowanym pyskiem. Teraz także kluczył przed nosem basiora, wyprzedzając resztę. Jego nowy, ostentacyjny rajd podniecił skrzeczące sójki. Wilka ogarnęła furia. Skoczył na oślep, wyhamował w powietrzu naprężonym łańcuchem. Siedzący lis ledwie drgnął, gdy cielsko uwięzionego grzmotnęło w ziemię tuż przed nim. Wydawać się mogło, że zryw ponownie osadzi basiora na jakiś czas. Przynajmniej tak działo się dotąd: koziółkował przez bark, okupując szarżę wzmoczoną porcją cierpień. Lecz tym razem pozbił się prędko. I znów zaatakował.

Pasja uderzenia strwożyła lisa. Począł na wszelki wypadek się cofać. Ale za późno. Basior, straceńczym susem wyłamawszy łapę z paści, przygniół lisa do ziemi. Dobrą chwilę trwało, nim obaj się otrząsnęli. Wduszony w poszycie rudzielnik wywinął do góry pysk. Rozpaczliwa próba oswobodzenia zdała się na nic. Wilk, sięgając ukosem od dołu, zatopił zęby w lisim gardle. Furii basiora nie wygasła nawet śmierć lisa. Długo jeszcze rozszarpywał jego brzuch, szyję i boki. Potem legł przy okrwawionych strzępach. A leżąc ciężko dyszał z wywieszonym językiem. I dopiero teraz, po czasie doszła do niego świadomość, że jest wolny.

Okaleczony, ale wolny! Dygotanie mięśni ustało. Wyrównał się także oddech. Ostrożnie dźwignął się na trzy nogi i pokuśtykał między sosny. Kołujące w górze kruki zniżały lot. Było im obojętne, czym się posilą.

Wypluł na pół żywą ryjówkę. Cuchnęła piżmem. A do tego ten niesmak w pysku. Znów dał się nabrać. Potrząsając z obrzydzenia głową ruszył dalej brzegiem łąki. Drogę na zachód przecinały wykroty. Ich grząskość utrudniała wilkowi trucht. Szczególnie teraz, gdy stąpał na trzech łapach. Głębsze zapadanie się jedynej zdrowej przedniej nogi groziło potknięciem. Ostrożnie zawrócił na grunt suchy. Rana uszkodzonej łapy goiła się szybko. Ale musiał od nowa brać naukę chodzenia. Trudną i wyczerpującą. Gdyż ciężar, dotąd równomiernie rozkładany na cztery nogi, obecnie dźwigały trzy. Zwłaszcza bieg sprawiał kłopot. Niejednokrotnie odruchowo szukał oparcia w czwartej łapie. Tracił równowagę, przewracał się lub koziółkował. Lecz z upływem czasu technika poruszania się o trzech łapach była opanowana coraz lepiej. Nadal jednak doskwierał sam kikut. Byłe trącenie świeżej blizny powodowało ból. A uszkodzona łapa często ocierała wysoką trawę lub krzewy. Również kładąc się baczył na to, by uniknąć dokuczliwego mrowienia. Zwróciwszy ku wschodowi stanął pod lasem. Właśnie wiatr zmienił kierunek. Ciekawość nowych zapasów ożywiła basiora. Chwilę wietrzył z uniesioną głową, uważnie też nasłuchiwał. Ale północny powiew przyniósł jedynie ledwo wyczuwalną

woń bydła; Oraz myszy, których wypatrywała pustułka. Sylwetka ptaka doskonale odcinała się na tle nieba. Wisiał w locie trzepoczącym z głową pochyloną ku dołowi dosyć długo, by niespodziewanie zwinąć skrzydła i pionowo uderzyć. Basior, straciwszy powietrznego łowcę z oczu, cofnął się w las, przykry smak po ryjówce usunęły borówki. Zjadł ich trochę, klucząc między drzewami. A wkrótce, wiedziony niknącym tropem sarny, zabrnął głębiej. Szeleściła sucha ściółka. Pociemniało. Mrok bukowego ostępu rozpraszał jedyny prześwit nad leżącym dębem. Dokładnie obwąchał rejon zwaliska. Zarośnięty hubą pień znaczyły wonie nornic. Jednak, mimo starań, żadnej nie udało się chwycić. Umykały za prędko na jego obecne możliwości. Rozczarowany pokuśtykał dalej.

Miniona noc również rozczarowała. Jak i dwie poprzednie. Bowiem nie zaspokoili żołądka ani traszki, ani ślimaki, ani śnięta ryba, którą znalazł przy zatoce jeziora. Wprawdzie kilka dni wcześniej trafiła się całkiem świeża padlina warchlaka i najadł się do syta, lecz od tego czasu wpadły na zęby tylko drobiazgi. Z głodu oglądał się teraz nawet za owadami. Tym bardziej podnieciło wilka nowe znalezisko, któremu z innych okoliczności, nie poświęciłby większej uwagi. Ofiara wyjątkowo powolna, choć trudna do zgryzienia: żółw błotny. Wypatrzył gada pijąc wodę. Jego pokrytą żółtymi plamkami głowę częściowo osłaniały liście żabieńca. Przeczuwający niebezpieczeństwo żółw zanurkował. Ale płytkie bajorko nie uchroniło uciekiniera. Wilk bez wahania skoczył za nim. W najgorszym miejscu zmacona woda prawie sięgała brzucha. Kłapał zębami na oślep, raz po raz zanurzając pysk. I w końcu ofiarę pochwycił, by wynieść ją na brzeg. Lecz załapanie żółwia to jedno, zaś zjedzenie – to drugie. Nie bardzo wiedział jak do kłopotliwego łupu się dobrać. Bowiem żółw wciągnął wszystkie kończyny – także głowę i ogon – pod pancerz. A twarda skorupa, mimo małych rozmiarów, nie podała się łamaczom. Wielokrotne próby zmiażdżenia jej spełzły na niczym. Wreszcie rozwiązanie pojawiło się samo, gdy pólżąc usiłował ogryzać krawędź pancerza. Strona brzuszna wyglądała na bardziej miękka. Zwłaszcza ruchoma część przednia plastronu. Siekaczami naderwał osłonę i wygarnięciu reszty nie mogło przeszkodzić już nic. W całej operacji przydałaby się pomoc drugiej przedniej łapy, ale i tak poradził sobie niezle. Zaklinowaną ukosem w dołku zdobycz przyciskała zdrowa łapa. Metodycznie, kęs po kęsie, opróżnił wnętrze pancerza, nie darując żadnej jadalnej cząstce. Połknął nawet lekko skruszony plastron. Wkrótce po żółwiu została jedynie wydrążona skorupa.

Obecność wilka wykorzystały komary. Nim odszedł, ściągnął na siebie chyba wszystkie z okolicy. Towarzyszyły mu jeszcze długo i dopiero przyspieszenie biegu pozwoliło zgubić natrętnie brzęcząca kitę. Poranek nadal był rześki. Prawie zniknął ciężki zapach żywicy. Powietrze przesyciła coraz mocniejsza woń butwiejących liści i grzybni. Basior, opuściwszy rejon łągów, powoli parł w stronę jeziora. Trochę dalej, za łagodnym wzniesieniem, drogę tarasowały kolejne wykroty. I tu aż się roilo od nieuchwytnych nornic. Żerowała również w pobliżu locha z młodymi. Nadto, prócz rozgrzebanego humusu, znalazł świeże ślady borsuka, jenota oraz jeża. Z ostatnim niemal się zderzyli. Kolczasty szperacz ściółki fuknął ostrzegawczo. A widząc, że wilk nie odstępuje, zwinął się w kłębek. Obwąchujący potencjalną ofiarę nie zaryzykował spotkania z nastroszonymi szpilkami. Już lepiej podążyć tropem jenota. Niestety i ten trop zawiódł, ginąc w rozbabranym tarzawisku. Całnocna włóczęga zmęczyła samotnika. Właśnie począł rozglądać się za jakimś suchym legowiskiem, gdy uwagę przyciągnęły nieregularne chrzęsty.

Nasłuchiwał chwilę i wietrzył z wysoko uniesioną głową. Nozdrza nie wyczuły nic, ale powtórzył się dobiegający od południa trzask. Ostrożnie pokuśtykał w tę stronę. Minutę później otworzyła się przed basiosem leśna polana. Jej brzegi obmywały promienie porannego słońca. I to było pierwsze co ujrzał: obfitość świetlistych kryształów rosy. Dopiero następny krok pozwolił dostrzec źródło hałasu – jelenia czamchającego porożem o krzewy. Rozdzieleni szerokością polany przyglądali się sobie dłuższy czas. Mizerna postura drapieźcy bardziej ciekawiła, niż odstraszała. Świadom swej siły byk w końcu niespiesznie odszedł, trzęsąc zwisającymi z poroża resztkami scypuły. Basior, odprowadziwszy nieosiągalną zdobycz wzrokiem, szeroko ziewnął. Drżenie napiętych mięśni, w przeciwieństwie do

frustracji powoli odstępowało. Nagle drgnął, porażony echem dosyć bliskiego strzału. Pamięć nie zawodziła. Charakterystyczny dźwięk mógł się kojarzyć tylko z jednym. Prędko skręcił na południe, dając się wkrótce dopędzić nie mniej zastraszonemu jeleniowi. I tak, zrównani lekkiem, biegli pewien czas obok siebie.

Zgubiony przez popielicę orzech spadł wilkowi na kark. Śpiący pod leszczyną otworzył oczy, zadarł głowę i przeciągając się wstał. Niemal natychmiast wróciło mrowienie kikuta. Odruchowo podkurczył uszkodzoną łapę na wysokość piersi. Pijąc wodę z pobliskiej kałuży wciąż nie potrafił otrząsnąć się z sennych widzeń. O bok ocierała się wilczyca: czuł na łapkach jej łapy, delikatne kąsanie warg oraz pieszczotę jej szorstkiego języka wokół uszu. Lecząc owa wizja, aczkolwiek wyrazista, ustąpiła silniejszemu obrazowi: rozrywaniu brzucha sarny. A wychłęptywana z kałuży woda zdawała się mieć smak i zapach krwi. Obliznął się z niedowierzaniem.

Zdumienie jego jeszcze wzrosło, gdy ujrzał zębiełka z młodymi. W poszyciu, może o dwa kroki dalej. Samiczka, jakby nie dostrzegając basiora, wiodła długi szereg młodych. W gęstniejącym mroku trochę przypominało to pełzanie węża. Zwłaszcza, że żywy sznur scalały łączenia: poczynając od pierwszego maleństwa za matką każdy następny przytrzymywał poprzednika zębami. Dłuższy czas tkwiący nieruchomo wilk jednym susem dopadł wiodącego zębiełka. Dopadł i natychmiast wypuścił. Pod nogi upadła gałąź. Suchy, skręcony kij – niczym nie przypominający przed momentem obserwowanej karawany ryjówkowatych. Nieufnie obwąchał przyległy rejon. Nic, żadnych śladów zapachowych. Żadnego szelestu czy widomej obecności jakiegokolwiek stworzenia. Czyżby aż tak się pomylił?

Zdezorientowanemu basiorowi ciekła z pyska ślina. Dawało o sobie znać coraz silniejsze kurczenie w brzuchu. Wstrząsnął głową i pokuśtykał na północ, w stronę torfowiska.

Minął rozgrzebane mrowisko, ślimaczą kuźnię pod świerkowym zagajnikiem i przewrócony jesion, by conocną rutynową trasą dotrzeć do ścieżek jeleni i dzików. Teraz ich skrzyżowanie znaczył dodatkowy trop: rysia. Tym dziwniejszy, że niespotykany od lat. W każdym razie nigdy nie zetknął się tu z nim, w okolicach jeziora. W przypływie gniewu nastroszył grzywę. Jednak bliższe obwąchiwanie ściółki zaprzeczyło pierwotnemu rozpoznaniu.

Szybko zapomniał o kocie, gdy uwagę przyciągnęła smużąca się nad ziemią woń padliny, w miarę podążania ku zachodowi mocniejsza, wręcz przenikliwa. I znów błąd. Stał jak wryty. Woń pochodziła od sromotnika. Już nie dowierzał wężowi. Wprawdzie oba zapachy – tego właśnie grzyba oraz padliny – były podobne, ale nie potrafić ich odróżnić? Rozczarowany ruszył dalej.

Zza skraju lasu niosło granie świerszczy. W prześwitach drzew pokazały się gwiazdy. Zwolnił trochę, wkrótce stanął, ciężko dysząc. Zmęczenie? Lecząc skąd? Kilometr przebiegł, może dwa. Zwykle łapy zaczynały drzeć po solidniejszym wysiłku. Nie wiedział co się dzieje. Ciałem wędrowały fale gorąca. Przysiadł z wywieszonym językiem. Wśród rozrzuconych wokół piór wały się kości. Daremnie usiłował powiązać widok ptasich resztek z ledwo wyczuwalną wonią ryb. Zamknął na chwilę oczy. Sypało śniegiem. Wirujące w powietrzu płatki miękko opadały na sierść, tajały i przyjemnie chłodziły skórę. Leżąc w zaspie zgryzał i przeżuwał świeżą kość. Wreszcie pękła i mógł się dobrać do szpiku. Jeden ze spadających płatków raptem począł rosnąć i upodabniać się do drapieżnego ptaka. Niepokojny otworzył oczy. Prosto z góry nadlatywał borowiec. Bezszelestnie skręcił tuż nad jego głową. Zniknął między drzewami i po chwili wrócił. Z łopotem. Olbrzymiejąc do rozmiarów bielika, którego wysunięte ku przodowi szpony nie pozostawiły wątpliwości: skrzydlaty drapieżca atakował. Dźgnięty lekkiem basior popędził w głąb lasu. I gnał tak, póki starczyło oddechu. Wkrótce rzekomy atak birkuta poszedł w niepamięć. Zachłannie pił wodę z napotkanego strumyka. Znów miała smak krwi. Głośnie chłęptanie wystraszyło jakieś zwierzę. Odszukał i odprowadził je wzrokiem, nie bardzo dowierzając temu, co widzi. Gdyż umykające stworzenie wskoczyło na drzewo, a dosyć wyraźnie

odcinająca się na tle rozgwieżdżonego nieba sylwetka sugerowała, że i na gałęzi przycupnął zając. Basior wyteżył wzrok. lecz mimo usiłowań nie udało mu się dostrzec w tym miejscu ani wiewiórki, ani tumaka. Podbiegł do drzewa, wsparł przednią łapę o pień i podniósł głowę. Nadal szarak. Tyle, że typowo wiewiórczym sposobem smyrznął dwa konary wyżej. Drżenie mięśni nie ustąpiło. Czuł się osłabiony i wyczerpany. Również rozkołatanemu sercu należał się odpoczynek. Spać. Jedynie tego obecnie pragnął. Nawet dojmujący głód gdzieś zniknął. Oczy zamknęły się same.

Nie zdążył jeszcze zasnąć, gdy do niedawnych omamów węchowych i wzrokowych dołączyły słuchowe. Raptem zewsząd i jednocześnie eksplodowały znajome dźwięki. Słyszał czuszykania cietrzewi, warkot bekasa, godowy ryk jeleni, brzęczenie komarów, nawoływania puszczyka, oraz trzask gwałtownie łamanych drzew. Wszystko to mieszało się ze sobą, by ostatecznie ucichnąć, zwieńczone gasnącym trelem drozda. Niżej, pod długimi szypułkami dojrzewającej trzmieliny, srebrzyła się rosa. Krople pękały, opryskując z trudem przedzierającego się wysoką trawą. Zbierał na pierś i pajęczyny osnuwików. Nie zważał już na zwodnicze obrazy. Intuicja podpowiedziała mu, że zarówno galasy niepostrzeżenie zmieniające się w myszy, jak i przeobrażona w kunę jaszczurka są niewartymi zachodu przywidzeniami, że powinien gnać dalej, pędzić tak długo, póki nie znikną albo ich nie zgubi. Po jakimś czasie istotnie zgubił. Otworzyła się przed nim pusta przestrzeń. Zgromadzone nad horyzontem szare zwaliska chmur rozplynęły się w dali. Pojaśniało. I raptem spostrzegł, że biegnie się mu wyjątkowo lekko, bez uprzedniej męki. Znów ma cztery sprawne łapy. Przechodzi z truchtu w spokojny galop, a czerpana z ruchu przyjemność pobudza do galopu pełnego - co jest łatwe.

Biegną razem. Dostrzega obok siebie waderę i pozostałych członków watahy. Podniecenie udziela się wszystkim - zaraz okrążą daniela, już doganiają, wystarczy uciekinierowi odciąć drogę. Właśnie wydłuża krok i przyspiesza, gdy po ściganym zostaje tylko ciemniejsza mgiełka. Ponownie jest sam. Nie wiadomo kiedy ze ścigającego przemienia się w ściganego, słyszy za sobą łopot skrzydeł birkuta. W ostatniej chwili zastawiał się zębami i szuka ratunku w głębokiej wodzie. Wydawało mu się że tonie. Parskając i prychnając wyskoczył z bajora, otrząsnął mokrą sierść. Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że świta. Wokół panowała cisza. Tylko od wschodu niesło cichy skrzek orzechówki. Z minionej nocy nie zapamiętał nic lub prawie nic. Co robił w bajorze? Polował? W ogóle coś jadł? Chyba jadł, skoro czuł posmak prawdziwka. Grzyby? Może zgryzł żabę? Brak pewności. Zmysły smaku i węchu nadal zwodziły. Za to miał inną pewność. Że gorączka ustąpiła. Razem z majakami. Wciąż trochę dygotał, lecz z zimna. W ciągu kilku ostatnich godzin temperatura spadła blisko zera. Rozlewający się przy ziemi chłód ożywił zapomniany od wiosny reumatyzm. Jednak, mimo ogólnego wyczerpania, czuł się na tyle dobrze, by pokuśtykać nad jezioro. Brzeg dużej wody obdarowywał nieraz godziwymi posiłkami. I tym razem nie zawiodł. Jego głośnie stąpanie przepłoszyło wydrę, która porzuciła nadjedzonego szczupaka. Niecierpliwie i z rozkoszą wbił i zęby w rybi grzbiet. Nie przerywając gryzienia uniósł głowę. Z mgły od zachodu pojawił się nad trzcinami jakiś złowrogi, cień.

(ciąg dalszy w następnym numerze)

Lech M. Jakób